

Jednoosobowy zespół



Fot. Sony Music

Już w latach 60. XX wieku można było nagrywać na kilku ścieżkach taśmy magnetofonowej, a następnie łączyć poszczególne partie utworu, tworząc bogate aranżacje. Mistrzem w tej dziedzinie był Phil Spector – twórca legendarnej „ściany dźwięku”.

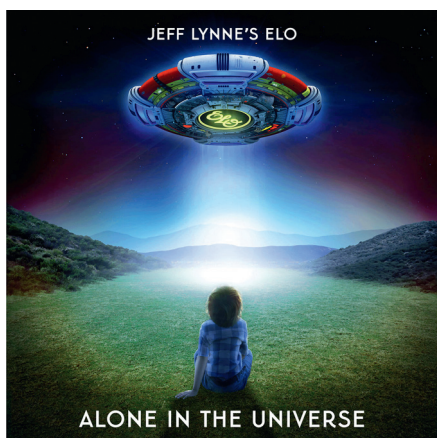
Grzegorz Walenda

Artysta objawił się melomanom w 1964 roku, kiedy jego utwór „You’ve Lost That Lovin’ Feelin’”, w wykonaniu duetu The Righteous Brothers, dotarł na szczyt amerykańskiej listy przebojów. Później Spector z powodzeniem pomagał w studiu innym muzykom. Przykładem jego producenckiej aktywności są albumy „Let It Be” grupy The Beatles i „Death of a Ladies’ Man” Leonarda Cohena. Mimo że Spector miał za sobą liczne sukcesy, a nagrania z jego „ścianą dźwięku” do dziś cieszą się popularnością, efekt jego producenckich poczynań nie zawsze budził zachwyt. Nie bez powodu w 2003 roku oczyszczono nagrania Beatlesów z dokonanych przez Spectora „poprawek”, w wyniku czego melomani otrzymali „nagą” wersję „Let It Be” pod znamienym tytułem „Let It Be... Naked”. Również „ubranie” akustycznej, zwykle ubogo aranżowanej twórczości Cohena nie wszystkim fanom przypadło do gustu.

Pomimo drobnych wpadek, Spector długo liczył się w muzycznej branży. Był m.in. współproducentem legendarnej płyty „Imagine” Johna Lennona. W tym przypadku chyba nikt nie ma zastrzeżeń do efektu.

Po tych i innych sukcesach, Spector odsunął się od estrady, a w 2009 roku został skazany na dożywocie za zabójstwo 6 lat wcześniej aktorki i modelki, Lany Clarkson. Aktualnie odsiadyuje wyrok, ale to już zupełnie inna historia.

Celowo przypomniałem postać Spector, gdyż ten był producent – kiedy jeszcze czynnie działał w studiach nagraniowych – mistrzowsko łączył dźwię-



ki, aby uzyskać nieosiągalne na scenie brzmienia. Pod jego okiem nawet jedna osoba mogła nagrać całą symfonię.

Do tego, aby samemu wykonywać kilka partii instrumentalnych, nie zawsze potrzebne są wielościeżkowe magnetofony. Wirtuoz jazzowej gitary, Pat Metheny, potrafi na scenie zastąpić całą orkiestrę. Używa w tym celu akustycznych instrumentów, które pobudza do działania, wciskając przyciski na elektronicznym pulpicie, umieszczonym pod stopami. Do wygenerowanego w ten sposób akompaniamentu Metheny gra na gitarze. Jeden instrumentalista brzmi jak mała orkiestra. Efekty słychać na płycie „The Orchestrion Project” (2013). Metheny nawet wyruszył z nią w trasę koncertową, aby publiczność przekonała się, że gra tylko on, choć wydaje się, że słychać co najmniej kilku muzyków.

Ale Pat Metheny to wciąż nie ten jednoosobowy zespół, o którym mowa w tytule. Solistów komponujących, a następnie samodzielnie wykonujących partie instrumentalne, aby później zgrać je w studiu lub, jak Metheny, wykorzystać w tym celu zmyślne urządzenia współpracujące z instrumentami aku-

stycznymi, nie brakuje. Znacznie mniej jest popularnych zespołów, których siłą napędową i sprawczą jest jeden muzyk. Przykładem dawna grupa T.Rex, której liderem był, nieżyjący już, Marc Bolan, czy wciąż aktywny zespół Jethro Tull pod wodzą Iana Andersona.

Tym razem skoncentrujemy się na innym wykonawcy, który również wylansował światowe przeboje. Jest nim Jeff Lynne, współzałożyciel i przez wiele lat lider grupy Electric Light Orchestra.



Fot. Sony Music

Nie tylko grał na gitarze i śpiewał, ale też komponował cały materiał wykonywany przez zespół. To jego pomysłem było wzbogacenie aranżacji o instrumenty smyczkowe. Dzięki niemu przeboje ELO miały charakterystyczne brzmienie, a frontman grupy stał się łatwo rozpoznawalny.

Lynne założył zespół w 1970 roku. Już w trakcie rejestracji debiutanckiej płyty w studiu obecni byli skrzypki i wiolonczeliści, co nadało nagraniom oryginalny sznyt. Żeby dodatkowo uatrakcyjnić przekaz, na czwartej płycie („Eldorado”, 1974) pojawiła się orkiestra symfoniczna pod dyrekcją Louisa Clarka. Dzięki temu rockowe hity ELO miały symfoniczną oprawę. Któż nie pamięta utworów „Mr. Blue Sky”, „Strange Magic”, „Turn To Stone” czy „Telephone Line”? Zasługi Lynna w ich stworzeniu i wylansowaniu są tym większe, że artysta nie tylko grał w studiu na kilku instrumentach i śpiewał; był również producentem nagrań. Współpracował w tej roli z wieloma innymi wykonawcami, jak choćby z Paulem McCartneym, Ringo Starrem, Brianem Wilsonem, Royem Orbisonem czy Tomem Pettym. Z dwoma ostatnimi oraz z Geor-

geem Harrisonem i Bobem Dylanem tworzył w latach 1988-1990 zespół The Travelling Willburys.

Po płycie „Zoom” (2001) Lynne na wiele lat rozstał się z ELO, ale pozostał aktywny muzycznie. Aktualnie w roli producenta pracuje nad nowym albumem Bryana Adamsa. Wróćmy jednak do ELO.

Kapela pod kierunkiem Lynna nagrała 13 płyt studyjnych (w tym filmowy krążek „Xanadu”, na którym jest tylko

pięć utworów ELO). O tym, w jak dużym stopniu lider był odpowiedzialny za brzmienie nagrań, świadczy wydany w 2003 roku krążek „Mr. Blue Sky”. Znalazły się na nim największe hity ELO, ale już wyłącznie w interpretacji Lynna. Muzyk zagrał prawie na wszystkich instrumentach i wykonał większość partii wokalnych. Wziął też na siebie funkcję producenta i zmiksował zarejestrowany materiał. „Nagrywanie cyfrowe jest zabawniejsze niż synchronizowanie dwóch 24-ścieżkowych magnetofonów – wyznał. – Miałem dużą frajdę, podchodząc jeszcze raz do tych piosenek.”

Lynne nie zmienił aranżacji, które są równie bogate, jak w pierwotnych wersjach. Udowodnił tym samym, że przydomek „jednoosobowy zespół” doskonale do niego pasuje.

A co z ELO? Po ubiegłorocznym koncercie grupy w londyńskim Hyde Parku fani czekali na nowe nagrania. Jest dla nich dobra wiadomość. Ukazała się płyta „Alone in the Universe” – znów stworzona, w większości zagrana i wyprodukowana przez Jeffa Lynna. Jak za dawnych czasów. Jednoosobowy zespół znów w akcji.